



NIEZWY- CIEŻONY

STANISŁAW LEM



CZARNY DESZCZ

„Niezwyciężony”, krążownik drugiej klasy, największa jednostka, jaką dysponowała baza w konstelacji Liry, szedł fotonowym ciągiem przez skrajny kwadrat gwiazdozbioru. Osiemdziesięciu trzech ludzi załogi spało w tunelowym hibernatorze centralnego pokładu. Ponieważ rejs był stosunkowo krótki, zamiast pełnej hibernacji zastosowano pogłębiony sen, w którym temperatura ciała nie opada poniżej dziesięciu stopni. W sterowni pracowały tylko automaty. W ich polu widzenia, na krzyżu celowniczym, leżała tarcza słońca, niewiele gorętszego od zwykłego czerwonego karła. Kiedy jej krąg zajął połowę szerokości ekranu, reakcja anihilacyjna została wstrzymana. Przez jakiś czas w całym statku pano-

wała martwa cisza. Bezdźwięcznie działały klimatyzatory i maszyny cyfrowe. Ustała najdelikatniejsza vibracja, towarzysząca emisji świetlnego słupa, który przedtem wypadał z rufy i jak nieskończonej długości szpada, zanurzona w mroku, popychał odrzutek statek. „Niezwyciężony” szedł z tą samą szybkością przyświeclną, bezwładny, głuchy i pozornie pusty.

Potem światełka zaczęły mrugać do siebie z pulpitów, oblanych różem dalekiego słońca, które stało w środkowym ekranie. Taśmy ferromagnetyczne ruszyły, programy wpelzały powoli do wnętrza coraz to nowych aparatów, przełączniki krzeszały iskry i prąd wpływał w przewody z buczeniem, którego nikt nie słyszał. Motory elektryczne, przewyciężając opór od dawna zastygłych smarów, ruszyły i z basów wchodziły na wysoki jęk. Matowe szyby kadmu wysuwały się z pomocniczych reaktorów, pompy magnetyczne tłoczyły płynny sód w węzownice chłodzenia, blachami rufowych pokładów poszło drżenie, a zarazem słaby chrobot we wnętrzu ścian, jak gdyby grasowały tam całe stada zwierzątek i stukały pazurkami o metal, zdradził, że ruchome sprawdziany samonaprawcze ruszyły już w wielokilometrową wędrówkę, aby kontrolować każde spojenie dźwigarów, szczelność kadłuba, całość metalowych złącz. Cały statek wypełniał się szmerami, ruchem, budząc się, i tylko jego załoga jeszcze spała.

Aż kolejny automat, pochłonawszy swoją taśmę programową, wysłał sygnały do centrali hibernatora. W powiew zimnego powietrza wmieszał się gaz budzący. Pomiedzy rzędami koi z podłogowych krat dmuchnęło ciepłym wiatrem. Ludzie jednak długo nie chcieli jakby się zbudzić. Niektórzy poruszali

bezwładnie rękami; pustkę ich lodowatego snu wypełniały majaczenia i koszmary. Któryś otworzył wreszcie pierwszy oczy. Statek był już na to przygotowany. Od kilku minut dotychczasową ciemność długich korytarzy pokładowych, dźwigowych szybów, kajut, sterowni, stanowisk roboczych, ciśnieniowych komór rozpraszał biały blask sztucznego dnia. I podczas kiedy hibernator wypełniał pomruk ludzkich westchnień i półprzytomnych jęków, statek, jakby w niecierpliwości nie mógł doczekać się odcienienia załogi, zaczął wstępny manewr hamowania. W centralnym ekranie ukazały się smugi dziobowego ognia. W dotychczasową martwość przyświeczonego pędu wtargnął wstrząs, potężna siła, przyłożona u dziobowych wyrzutni, usiłowała zgnieść osiemnaście tysięcy ton masy spoczynkowej „Niezwycięzonego”, pomnożonych teraz przez jego ogromną szybkość. W kajutach kartograficznych upakowane szczelnie mapy zatrzęśły się niespokojnie na rolkach. Tu i ówdzie ruszały się, jakby ożywając, nie dość mocno osadzone przedmioty: zagrzechotało w kambuzach od zderzających się naczyń, zachwiały się oparcia pustych, pianowych foteli, pasy i liny ściennie pokładów zaczęły się kołysać. Stukot: zmieszane dźwięki szkła, blachy, plastyków fala przeszły przez cały pocisk od dziobu po rufę. Tymczasem z hibernatora dochodził już gwar głosów; ludzie z nicości, w której trwali przez siedem miesięcy, poprzez krótki sen, wracali do jawy.

Statek tracił szybkość. Planeta zakryła gwiazdy, cała w rudej wełnie obłoków. Wypukłe lustro oceanu z odbiciem słońca przesuwawało się coraz wolniej. W pole widzenia wszedł bury, upstrzony kraterami kontynent. Ludzie na stanowiskach pokładowych nie widzieli nic. Głęboko pod nimi, w tytanowych

— Zero i zero. Wszystkie silniki stop.

Dzwon. Jedno, jedyne uderzenie, jakby olbrzymiego, pękniętego serca. Rakieta stała. Główny Inżynier stał z rękami na dwu rękojeściach awaryjnego odrzutu: skała mogła się poddać. Czekali. Strzałki sekundomierzy poruszały się dalej swoim owadzym ruchem. Dowódca patrzył przez chwilę na wskaźnik pionu; jego srebrzyste światełko ani trochę nie odchyliło się na bok od czerwonego Zera. Milczeli. Rozgrzane do wiśniowego żaru dysze zaczynały się kurczyć, wydając szereg charakterystycznych odgłosów, podobnych do chrapliwego postękiwania. Czerwona chmura, wzbита na setki metrów, opadała. Wyłonił się z niej tępy wierzchołek „Niezwycięzonego”, jego boki, osmalone tarciem atmosferycznym i podobne przez to barwą do starej skały, chropawy, podwójny pancierz, rudy kurz wciąż jeszcze kłębił się i wirował u rufy, ale sam statek znieruchomiał już na dobre, jakby stał się częścią planety i teraz krążył razem z jej powierzchnią leniwym ruchem, trwającym od wieków, pod fioletowym niebem, w którym widniały najsilniejsze gwiazdy, niknące tylko w bezpośrednim pobliżu czerwonego słońca.

— Normalna procedura?

Astrogator wyprostował się znad książki pokładowej, gdzie, w połowie karty, wpisał umowny znak lądowania, godzinę i dodał obok w rubryce nazwę planety: „Regis III”.

— Nie, Rohan. Zaczniemy od trzeciego stopnia.

Rohan starał się nie okazać zdziwienia.

— Tak jest. Chociaż... — dodał z poufałością, na którą Horpach mu nieraz pozwalał — wolałbym nie być tym, który powie to ludziom.

Astrogator, jakby nie słysząc słów swego oficera, wziął go za ramię i doprowadził do ekranu jak do

alna. Odgarnięty na boki odrzutem lądowania piasek uformował rodzaj płytkiej kotliny, zwieńczonej osypującymi się diunami. Z wysokości osiemnastu pięter patrzyli przez trójbarwną płaszczyznę elektro-nowych impulsów, tworzącą wierny obraz świata zewnętrznego, na skalną piłę odległą o trzy mile krateru. Od zachodu pochłaniał ją horyzont. Od wschodu gromadziły się pod jej zerwami czarne, nieprzeniknione cienie. Szerokie rzeki lawy, o grzbie-tach wyniesionych nad piaski, miały barwę starej krowi. Jedna silna gwiazda płonęła w niebie, pod górnym obrzeżem ekranu. Kataklizm, wywołany niebezpieczeństwem „Niezwycięzonego”, minął i wi-scher pustyni, gwałtowny prąd powietrza płynącego stale ze stref równikowych ku biegunowi planety, wilał już pierwsze piaszczyste języki pod rufę statku, jakby usiłując cierpliwie zbliżyć ranę, utworzoną przez wylotowy ogień. Astrogator włą-czył sieć zewnętrznych mikrofonów i zjadliwe, da-łkie wycie wraz z dźwiękiem piachu, szorującego po pancerzach, wypełniło na chwilę wysoką prze-strzeń sterowni. Potem wyłączył mikrofony i zapad-ła cisza.

— Tak to wygląda — powiedział, powoli. — Ale „Kandor” nie wrócił stąd, Rohan.

Tamten zacisnął szczęki. Nie mógł spierać się z dowódcą. Przeleciał z nim wiele parseków, ale nie doszło między nimi do przyjaźni. Może różnica wie-ku była zbyt wielka. Albo przebyte wspólnie niebez-pieczczeństwa za małe. Bezwzględny był ten człowiek o włosach prawie tak białych jak jego odzienie. Stu bez mała ludzi trwało nieruchomo na stanowiskach po skończonej, wyteżonej pracy, która poprzedziła zbliżenie, trzysta godzin hamowania nagromadzonej w każdym atomie „Niezwycięzonego” energii kine-

tycznej, wejście na orbitę, lądowanie. Stu prawie ludzi, którzy od miesięcy nie słyszeli odgłosu, jaki wydaje wiatr, i nauczyli się nienawidzić próżni, jak nienawidzi jej tylko ten, kto ją zna. Ale dowódca o tym na pewno nie myślał. Przeszedł powoli przez sterownię i opierając rękę na oparciu fotela, podniesionym już do nowego poziomu, mruknął:

— Nie wiemy, co to jest, Rohan. — I nagle, ostro: — Na co pan jeszcze czeka?

Rohan podszedł szybko do pulpitych rozrządowych, włączył wewnętrzną instalację i głosem, w którym drgało jeszcze stłumione oburzenie, ciskał:

— Wszystkie poziomy, uwaga! Lądowanie skończone. Procedura naziemna trzeciego stopnia. Poziom ósmy: gotuj energoboty. Poziom dziewiąty: stopy ekranowania na rozruch. Technicy osłony na stanowiska. Reszta załogi: na wyznaczone miejsca robocze. Koniec.

Zdawało mu się, kiedy to mówił, patrząc w mrużące zgodnie z modulacją głosu zielone oko wzmacniacza, że widzi ich spocone twarze, jak zastygają w nagłym zdumieniu i gniewie, uniesione ku głośnikom. Teraz dopiero musieli zrozumieć, dopiero teraz zaczynali kląć...

— Procedura naziemna trzeciego stopnia w toku, panie astrogatorze — powiedział, nie patrząc na starego człowieka.

Ten spojrział na niego i niespodziewanie, kątem ust uśmiechnął się:

— To tylko początek, Rohan. Może będą jeszcze długie spacerunki o zachodzie, kto wie...

Wyjął z płytkiej szafki ściennej wąski, wysoki tom, otworzył go i kładąc na najeżonym rękojeściami, białym pulpicie, powiedział:

— Czytał pan to?

— Tak.

— Ostatni ich sygnał, zarejestrowany przez siódmy hiperprzekaznik, doszedł do proksymalnej boi na zasięgu Bazy przed rokiem.

— Znam jego treść na pamięć. „Ładowanie na Regis III zakończone. Planeta pustynna typu sub-Delta 92. Schodzimy na ląd drugą procedurą w strefie równikowej kontynentu Ewany”.

— Tak. Ale to nie był ostatni sygnał.

— Wiem, panie astrogatorze. Czterdzieści godzin później hiperprzekaznik zarejestrował serię impulsów, jak gdyby nadawanych Morse'em, ale nie mających żadnego sensu, a potem — kilkakrotnie powtarzające się, dziwne odgłosy. Haertel nazwał je „miauczeniem kotów, ciągniętych za ogon”.

— Tak... — powiedział astrogator, ale widoczne było, że nie słucha.

Stał znowu przed ekranem. Nad samym skrajem pola widzenia, tuż przy rakiecie, ukazały się nożycowo wysunięte, przesła pochylni, po której sunęły jak na paradyżu równo, jeden za drugim, energoboty, trzydziestotonowe maszyny, powleczone silikonowym pancerzem przeciwpożarowym. W miarę jak spełzały w dół, ich pokrywy rozchylały się powoli i zarazem szły w górę, dzięki czemu ich prześwit powiększał się; opuszczając pochylnię, głęboko zanurzały się w piachu, ale szły pewnie, orząc wydymę, którą wiatr wznosił już wokół „Niezwycięzonego”. Rozchodziły się na przemian w jedną i drugą stronę, aż po upływie dziesięciu minut cały perymetr statku otoczony był łańcuchem metalowych żółwi. Znieruchomiawszy, każdy począł zagrzebywać się miarowo w piasku, aż znikł, i tylko połyskliwe plamki, regularnie porozmieszczane na rudych zboczach wydym, wskazywały miejsca, z których wystą-

Конец ознакомительного фрагмента

Уважаемый читатель!

Размещение полного текста данного произведения
невозможно в связи с ограничениями по IV части ГК
РФ

Эту книгу вы можете прочитать
в Оренбургской областной универсальной
научной библиотеке им. Н.К. Крупской
по адресу: г. Оренбург,
ул. Советская 20 тел.: для справок: (3532) 61-60-30